Nr. 7
Jerozolima, maj 1944
„GAZETA POLSKA"
Egzemplarz bezpłatny

NASZA GAZETKA

DODATEK DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

SIŁA NARODU

Bywało tak w życiu Narodu Polskiego, że źli sąsiedzi, wykorzystując nasze wewnętrzne niezgody, czy swoją przewagę wojskową, niszczyli nasze urządzenia państwowe, zabierali nam naszą niepodległość. Zawsze jednak po dłuższym, czy krótszym okresie czasu nieprzyjaciel musiał ustąpić, a Państwo Polskie odżywało nietylko nie słabsze, ale bardzo często silniejsze i wspanialsze, niż przedtem. Ustępował też nieprzyjaciel nie przed silną armią, nie przed siłą fizyczną, ale przed niezmordowaną wolą Narodu, przed gorącym pragnieniem powrotu do niepodległości, tak silnym, że, jak tylko jakakolwiek możliwość się zdarzała, zawsze Naród przez swych wodzów i żołnierzy zrzucał siłą kajdany niewoli.

Gdzie jest źródło tej siły, jak wytłumaczyć, że ta wola odzyskania swojego Państwa przeżywała w ukryciu aż do stosownej chwili, w której budziła bez wyjątku cały Naród? Otóż siła Narodu tkwi w jego urządzeniach, w tradycji narodowej, w umiłowaniu praw rządzących życiem społeczeństwa. Siła Narodu Polskiego tkwiła w wolności obywateli, w tolerancji i szacunku dla wszystkich narodowości, które w Polsce znajdowały zawsze, nawet w najciemniejszych dla świata okresach, schronienie. Wówczas gdy prześladowania religijne i rasowe gdzieindziej wywoływały zaburzenia, wojny i niepokoje, to w Polsce panował pokój, trwała pomyślność i szacunek dla praw ludzkich. Państwo nasze było wielkie i potężne. Tym też należy tłumaczyć dlaczego dzisiaj tak nam jest drogą Konstytucja Trzeciego Maja. Ona zawierała w sobie te wszystkie urządzenia i prawa, które w ciągu historii Polski powstały, które odzwierciedlały duszę narodową. Jest ona dla nas tym droższą, że wówczas, gdy zdawało się, że już nic Polski nie uratuje, gdy wydawało się, iż rozmaici zdrajcy już Polskę sprzedali, Naród, ratując się przed ostateczną zagładą, odwołał się do tych najdroższych każdemu Polakowi praw i zasad.

Prawie przez 150 lat Konstytucja Trzeciego Maja ożywiała naszych ojców, dziadów i pradziadów i budziła ich ze snu niewoli, by wreszcie ponownie odżyła Najjaśniejsza Rzeczpospolita Polska.

O tych źródłach siły Narodu Polskiego nasi wrogowie wiedzą doskonale. Dlatego też wszelkimi sposobami usiłują zatruć nasze dusze, odebrać nam jasny sąd o tym, co jest naszą tradycją narodową, zmienić drogi naszego historycznego rozwoju. Przede wszystkim usiłują pokłócić Polaków między sobą, rozbić tę jedność, która była wynikiem wierności naszej tradycji. Zawsze też starali się znaleźć po-

archiwum

mocników wśród nas samych, w ludziach słabych, głupich czy sprzedajnych, małej wiary i wytrwałości. Naród Polski odzyska swoją państwowość i utrzyma ją, pozostając wiernym swoim zasadom i swojej tradycji. Polska nie wydała zdrajcy, nie wydała nikogo, ktoby był w stanie poprowadzić Naród w służbę obcą. Za granicą usiłowania małej grupki też muszą pozostać bezowocne. Jedność Narodu, i w Kraju i poza jego granicami około Polskiego Rządu, jedynego prawdziwego reprezentanta Państwa Polskiego, doprowadzi nas wreszcie do naszych domów, wolnych od obcej władzy, od wrogiej przemocy.

Władysław Stanisław Reymont

Dnia 7 maja 1869 roku urodził się Władysław Reymont. W tym roku więc upływa 75-ta rocznica jego urodzin. Chcemy uczcić, zamieszczając poniżej wyjątki z artykułów A. Siedleckiego i J. Kisielewskiego. dotyczące twórczości tego wielkiego naszego pisarza, jednego z największych, autora powieści „Chłopi", odznaczonej nagrodą Nobla.

Zamieszczony poniżej urywek pt. „Misja" zaczerpnięty jest z „Ziemi Chełmskiej" Reymonta.

JAK REYMONT WIDZIAŁ WIEŚ POLSKĄ

A. SIEDLECKI

Autor „Sprawiedliwie" i „Chłopów", autor „Ziemi obiecanej" i „Fermentów", autor „1794 roku" jest zjawiskiem nie tylko polskiej, ale wszechświatowej literatury. Dzieła jego tłumaczone są nie tylko na te języki, które stanowią naturalny teren naszej ekspansji [1]) kulturalnej, a więc nie tylko na język: rosyjski, czeski, chorwacki lub słoweński; dzieła Reymonta zdołały utorować sobie drogę do tak wyrobionych, często zazdrosnych o obcą inwazję piśmiennictw, jak: francuskie, anglosaskie, włoskie lub hiszpańskie. Szorokie rozpowszechnienie ma powieść jego w Niemczech i Skandynawii. (Rzecz prosta, że artykuł ten, jak i następny pisane były przed wojną, nawet przed 1924-tym rokiem, rokiem przyznania Reymontowi nagrody Nobla. — Przyp. red.).

...Doskonałość Reymonta polega na tym, że swój niezwykły dar obserwacji i pamięci wzrokowej umie przyoblec w przedziwnie giętki zespół słów i zdań. Słowo jest kolorowe, czasem zaś jeden dźwięk w zdaniu przeleci, jak błysk światła.

...Chłop Reymonta jest nowy „..Ma swoje własne oblicze, sobie tylko i autorowi za życie wdzięczne, a równocześnie w chłopie tym zeszły się po niewoli wszystkie poprzednie stadia patrzenia na lud.

Jest ten chłop pierwotnym, jak u Dygasińskiego, jest i malowniczym, nie tak, jak u romantyków, ale malowniczym z obserwacji malarskiej; jest poetycznym, nie sielankowo, jak w „Wiesławie", ale poetycznym, jako ideą warstwy i sentymentu ziemi...

...Każda czynność chłopa ma coś z obrzędu, nad każdą czujesz dłoń jakiegoś boga, genii loci [2]), świetlic i komór, stodół i zagonów. On jeden z pośród wszystkich warstw zachował wagę ceremoniału w uczynkach powszednich, przez co jest zaiste... potomkiem Piastów.

...W „Chłopach" ukazano prawdę i możliwość. Ukazano realne zadatki przyszłego obywatela. Ten chłop zna narazie ziemię i do niej przywarł... Na chłopie, jak na fundamencie, budować będzie Polska swoją nowoczesność.

J. KISIELEWSKI

Jeżeli zgodzimy się na to, iż jesteśmy jeszcze do dziś dnia narodem przede wszyst-

[1]) Wpływ kulturalny.

[2]) Duch, opiekuńczy, geniusz miejsca.

archiwum

kim rolniczym, że typowy Polak, to w pierwszym rzędzie wieśnak, to dojrzymy i obejmiemy całą powagę i piękno... „Chłopów", bo w dziele tym poznamy Polaka w stanie pierwotnym, całą psychologię i charakterystykę naszą w wyrazach najprostszych i najistotniejszych. Reymontowski chłop ma rzeczywiście wszystkie właściwości, wszystkie wady i wszystkie nasze zalety narodowe.

MISJA

Modrawy świt rozstrzęsał się nad uroczyskiem, niebo stawało się coraz jaśniejsze, z moczarów odzywały się kwilenia czajek i krzyki dzikiego ptactwa, bór się zakolebał, rozgędził na chwilę i przycichnął i pochylony jakby się wsłuchiwał w rozdrgane szmery modlitw, w rozłkaną pieśń powstrzymywanych płaczów, skarg i jęków...

Szare mgły, wypełzłe z bagnisk, zaczęły pokrywać klęczących niby szronem, że całe to znieruchomiałe morze ludzkie widniało jakby pole, zorane w twarde i niezliczone skiby głów, ponad którem wynosiły się tylko światła ołtarza i Chrystus, wyciągający litościwe ramiona.

Tuż za mną posypały się ciche prędkie i trwożne szepty:

— Podobno wojsko idzie na nas z Białej, kozacy i piechota!

— Jezus, Marja! Święty Józefie!

— Dali znać ze szosy, jakiś Żyd im powiedział.

— Cicho, teraz nabożeństwo, — odezwał się ktoś karcąco.

— A niech przyjdą i niech nas wezmą! — podniósł się surowy, mocny głos.

I ani jeden nie podniósł się do ucieczki, ani cienia przestrachu nie dojrzałem na żadnej twarzy, pomilkli natychmiast, a tylko tu i ówdzie na mgnienie błysnęły oczy, zatrzęsły się wargi, a dłonie zaciskały się w pięście, i modlili się dalej w głębokim spokoju i ufności.

Byłem prawie pewien, że to fałszywa wiadomość, ale mimo to nie mogłem się uspokoić i bezwiednie oglądałem się na wszystkie strony, aż mi ktoś szepnął do ucha:

— To nieprawda. Niech się pan nie boi, a drugich nie straszy!

Mgły opadły, dzień rozlewał się pogodny i rzeźwy, moczary zadymiły, jak trybularze, bór zaszemrał i porannym pacierzem do nadchodzącego słońca, i głośniej zaśpiewały ptaki, a w modrawem, zimnem świetle wyraźnie było widać gęstwę niezliczoną głów, zatopionych w żarliwej modlitwie, wzniesione w zachwyceniu ręce, anielskie uśmiechy, twarze wniebowzięte, oczy pełne nie zgłębionego uniesienia, rozchylone i oniemiałe w ekstazie usta, że już wszystkie dusze zdawały się omdlewać z nadmiaru czucia i płynąć jakby w jakieś raje niewysłowionej szczęśliwości.

Dosyć czasu upłynęło w takiej modlitewnej ciszy i skupieniu, gdy zaroiły się wśród klęczących zapalone świece i zawrzały naraz wszystkie dzwonki.

Zaczęło się Podniesienie, a kiedy ksiądz wzniósł wysoko monstrancję, runęli wszyscy na twarze, zerwały się szlochy, westchnienia i krótkie, rozpalone krzyki, przenajświętsze głosy serc, padających w proch przed Bożym majestatem.

— Niech teraz przyjdą i spróbują brać! — odezwał się ktoś z boku, gdy znowu spłynęło milczenie na pochylone kornie głowy.

Nie było czasu na odpowiedź, bo ksiądz, ledwie już dojrzany w kadzielnych dymach i brzaskach świateł odwrócił się od ludu z monstrancją i donośnym, jak dzwon, głosem, zaintonował suplikacje.

Nigdy w życiu nie zapomnę tej chwili.

Lud powstał z klęczek, pochwycił żarliwemi ustami świętą melodję i zawtórował takim wstrząsającym głosem, aż zadrżały drzewa i rosisty grad posypał się na głowy.

Śpiewali jakby zapatrzeni z złociste blaski monstrancji, czy też we własne dusze, nie wiem, wiem tylko, że te głosy tysięcy były

archiwum

jednym, jak świat, ogromnym głosem, były pieśnią milionów, były wołaniem najtajniejszych głębin człowieczych, były żalnym jękiem przyziemnego bytu u bram nieśmiertelności, były krzykiem ziemi, zapomnianej do Boga, do Boga miłosierdzia i miłości.

Każda dusza zawodziła przed Panem gorzką pieśń życia; każda dusza skarżyła się żałosnym płaczem, i każda dusza żebrała o zmiłowanie.

Niby krze ogniste, wybuchnęły serca i śpiewały całą nieukojoną męką, wszystką wiarą, wszystką miłością i wszystką mocą żywota śpiewały. Huragan głosów odrywał się zwolna od ziemi, bił w niebo, huczał coraz potężniej i rozlewał się coraz ogromniej, jakby ponad całym światem, jakby już wraz z nimi śpiewały wszystkie bory, i ziemie, i wody, i nawet to słońce, które wyzierało czerwoną źrenicą, i stwór wszelaki.

Dopiero po skończeniu mszy pomilkły śpiewy.

A po krótkim odpoczynku i po przybyciu paru księży, najdziwaczniej poprzebieranych, rozpoczęła się właściwa praca misyjna.

I cały dzień ołtarz jarzył się zapalonemi świecami, cały dzień oblegały go tłumy rozmodlonych i cały dzień, prawie bez przestanku, księża nauczali, słuchali spowiedzi, komunikowali, dawali śluby i chrzcili.

Przeszło pięć tysięcy osób czekało na to z upragnieniem.

Byli tacy, którzy dwadzieścia mil przyszli, przekradając się lasami, jak wilki.

Byli tacy, których chrzczono, dawano im śluby i zarazem chrzczono ich dzieci.

Byli tacy dorośli, żonaci, dzietni, którzy po raz pierwszy w życiu widzieli mszę.

Byli i tacy, a takich znajdowało się najwięcej, którzy za każdą mszę wysłuchaną, za każdą spowiedź, za ochrzczenie każdego dziecka, za wzięcie ślubu, za polski pacierz i za polską książkę brali kije, płacili kary i całe miesiące przesiedzieli w więzieniach.

A jednak wszyscy przetrwali!

Cisi, prości, spokojni, wierni, a niezłomni i niezwyciężeni.

Taki jest panie nasz lud na „Czerwonem Podlasiu".

Skała, w którą przez czterdzieści lat biły całe huragany piorunów i nie zmogły, przetrzyma i wyodrębnienie Chełmszczyzny, i nowe prześladowania; przetrzyma wszystko i wszystkich...

JULIUSZ SŁOWACKI.

W PAMIĘTNIKU ZOFII BOBRÓWNY

Niechaj mnie Zośka o wiersze nie prosi,
Bo kiedy Zośka do ojczyzny wróci,
To każdy kwiatek powie wiersze Zosi,
Każda jej gwiazdka piosenkę zanuci.
Nim kwiat przekwitnie, nim gwiazdeczka zleci,
Słuchaj — bo to są najlepsi poeci.

Gwiazdy błękitne, kwiateczki czerwone,
Będą ci całe poematy składać,
Jabym to samo powiedział, co one,
Bo ja się od nich nauczyłem gadać;
Bo tam, gdzie Ikwy srebrne fale płyną,
Byłem ja niegdyś, jak Zośka, dzieciną.

Dzisiaj daleko pojechałem w gości...
I dalej mię los nieszczęśliwy goni,
Przywież mi, Zośko, z tamtych kwiatów woni,
Bo mi naprawdę odmłodnieć potrzeba.
Wróć mi więc z kraju taką — jakby z nieba.—

archiwum

DWAJ ŻOŁNIERZE POLSCY

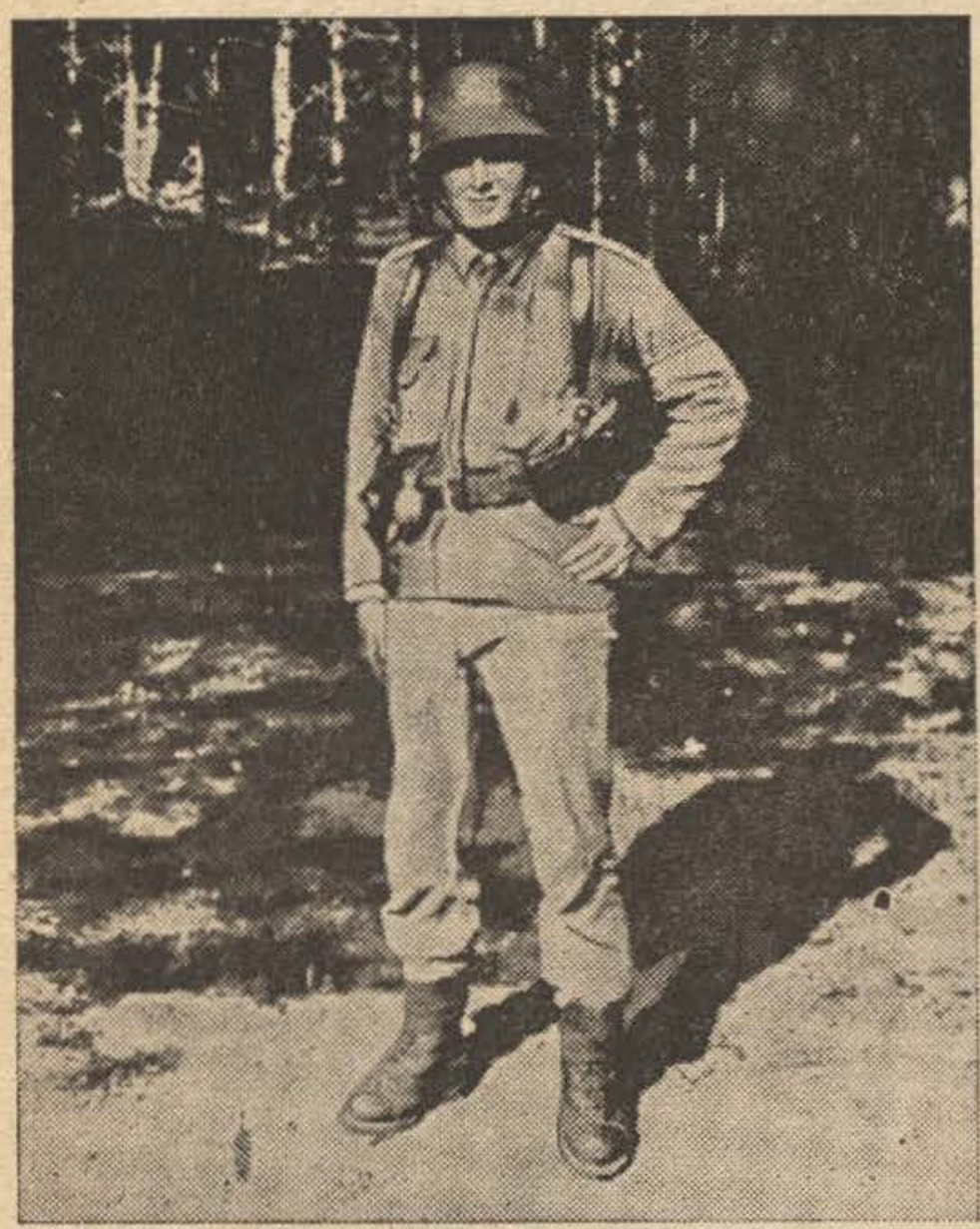

Ten, którego widzicie po lewej stronie jest żołnierzem Polskiej Armii Krajowej, która w Polsce walczy z niemieckimi najeźdźcami zadając im po każdym wypadzie dotkliwe klęski. Drugi żołnierz polski, którego widzicie obok, jest polskim ułanem pancernym, należącym do jednostek walczących dziś we Włoszech, jako 2-gi Korpus Polski. Trzyma on na rękach dziecko włoskie. Nasze wojska we Włoszech zyskały znowu światowy rozgłos, dzięki swojemu męstwu, okazanemu w czasie zdobywania szturmem wzgórza klasztornego pod Cassino.

JANINA KRÓLIKOWSKA

NA IMIENINY MAMY

Jakiż ci piękny podarek
Dam w dzień Imienin, o Mamo?
Chyba to moje serduszko
Co wciąż cię kocha tak samo.

Weź główkę w drogie swe dłonie,
Tak mocno przytul do siebie
I przyłóż uszko do serca...
Prawda, że bije dla ciebie ?

Ale gdy wrócę do kraju,
Gdy wrócę z Tobą, Matenko,
To najpiękniejsze zasieję
Kwiatki pod twoim okienkiem.

Zrobię z nich śliczny bukiecik,
Wstążką przewiążę tęczową,
i w mym serduszku wypiszę
Życzenia imieninowe.

Serduszko włożę w bukiecik
I z rannym słońca promykiem
Dam ci te kwiaty i serce
Z imieninowym wierszykiem.

archiwum

Z KRONIKI TECHNICZNEJ

SAMOLOT RAKIETOWY

Wszystko już było! Szachy wymyślono w Indiach, kości (wiem z historii) rzucał nad Rubikonem Juliusz Cezar, w karty grywali Karol Wielki i Karol Łysy, Neron chodził do cyrku i krzyczał: „brawo"! Aleksander Macedoński i Hannibal grywali w guziki, a słowa „one-due-rabe-enczek-penczek-żabe" pochodzą z Sanskrytu! Wszystko już było! Tylko samolotu rakietowego jeszcze nie było. Nie było i co? I już jest!

A co to jest samolot rakietowy, o którym rozpisują się dziś szeroko gazety całego świata? Alianci piszą, że samolot rakietowy jest jeszcze jednym krokiem w kierunku szybkiego zwycięstwa, a Niemcy udają, że się wcale tego samolotu nie boją.

Samolot rakietowy rzeczywiście otwiera przed nami możliwości, których jeszcze nie można w całości ogarnąć ani przewidzieć.

Słówko uznania należy się w tym miejscu dzielnej, upartej technice dzisiejszej. Trzydzieści parę lat temu bracia Wright, właściciele małego składu rowerów w Drayton, wyruszyli na piachy i pustkowia w Kitty Hawk z trochę niezdarnym latawcem własnego pomysłu. Udało się! Zdobyli rekord światowy: utrzymali się w powietrzu w ciężkiej maszynie całą minutę!

Nastąpiło trzydzieści lat pracy nad tym niezdarnym latawcem: przerobiono go na metalowego ptaka; ludzie oblecieli na nim kulę ziemską dookoła we wszystkich kierunkach. Wydawało się, że już możemy spocząć na laurach, bo nic nowego ani lepszego nie da się wymyśleć.

Ale technicy nie lubią spoczywać. Marzyli o samolocie rakietowym, chcieli polecieć na księżyc. No i mamy samolot rakietowy.

Sama nazwa mówi, że zasada jego lotu jest taka sama jak lotu zwykłej rakiety, mianowicie tak zwany odskok mechaniczny, zjawisko dobrze znane przygodnym strzelcom, których karabin przy wystrzale „kopnął". Zagadnienie to rozwiązano konstrukcyjnie i samolot już lata.

Kiedy znajdziemy odpowiednie paliwo i pokonamy przyciąganie ziemi, oderwiemy się od niej i poszybujemy w przestrzeń międzyplanetarną.

Sny i marzenia stają się rzeczywistością. Poeci muszą przypiąć skrzydła swojej fantazji, bo ich technika dzisiejsza niedługo zdystansuje.—

(S-l)

NASZE SPRAWY NA SZEROKIM ŚWIECIE

KONGRES „OBYWATELI JUTRA"

Około 2.000 chłopców i dziewcząt w wieku od 15 do 19 lat wzięło udział w konferencji, która odbyła się w Londynie w początkach stycznia. Byli to uczniowie i uczennice szkół średnich z całego kraju. Konferencja ciągnęła się cztery dni, a zorganizowana była przez towarzystwo, którego celem jest krzewienie idei powszechnego braterstwa i wychowania młodzieży w duchu „światowego obywatelstwa". Prasa londyńska zajmowała się żywo tą konferencją, którą nazwała „kongresem jutrzejszych obywateli".

Na otwarciu konferencji byli ministrowie oświaty kilku krajów sprzymierzonych, a mianowicie: Polski, Francji, Czechosłowacji, Holandii, Belgii i innych. Referaty i dyskusje dotyczyły różnych tematów gospodarczych, społecznych i politycznych.

W pierwszym dniu obrad, zebranych przywitał prezydent miasta Londynu, który w krótkim przemówieniu podkreślił, że wojna dzisiejsza toczy się o zapewnienie całej ludzkości szczęścia i bezpieczeństwa. Musimy, stwierdził on, szukać takich rozwiązań, któreby uwzględniały interesy wszystkich narodów świata, bez względu na ich przynależność rasową i kolor. Takie rozwiązania mogą być trwałe tylko o tyle, o ile je oprzemy o ducha obawatelskiego w najszerszym pojęciu tego wyrażenia — o poczucie wspólnoty i braterstwa między wszystkimi ludźmi na świecie, o „światowe obywatelstwo".

archiwum

RYSZARD MAŁE LWIE SERCE

Ciąg dalszy.
Odcinek piąty.

Major rzęsiście skropił wodą czoło Ryszarda. W pewnej chwili nawet zaniepokojony dotknął jego serca. Rozpiął mu na szyji koszulinę i zdjął kusą marynareczkę. Następnie zwilżył chustkę, włożył ją w kilkoro i położył na sercu Ryszarda. Było widać na twarzy majora wahanie i niepewność, co ma dalej robić. Jednakże zdecydował się wreszcie, podszedł do kąta, wyjął ze stosu gratów wojskowych rzuconych dosyć niedbale manierkę i podszedł z nią do malca.

Kilka kropel mocnego płynu, wlane w usta zemdlonego odniosło skutek. Ryszard na chwilę otworzył powieki, spojrzał przenikliwie w twarz majora, poruszył wargami tak jakby miał zamiar coś powiedzieć, zabełkotał nawet kilka słów, ale powieki ciążące ołowiem opadły znów na jego oczy i usnął.

Znów major pochylił się nad malcem, zbadał serce, posłuchał oddechu, zdjął kompres z serca, uśmiechnął się i pocałował Ryszarda w czoło.

Ryszard zaś spał jak zabity. Jak kamień zapadł w czeluście snu. Całodzienne znużenie, spowodowane niezwykłymi i przerastającymi jego dziecinne prawie jeszcze siły trudami, pogrążyło go na samo dno kojącego snu. Ale widocznie również i ta cała masa wrażeń, które przeszedł w ciągu ostatnich kilkunastu godzin, była tak wielka, że aż według nich kształtować się musiały jego senne widziadła. Chwilę leżał spokojnie i jakby uśmiech nieśmiały olśniewał jego twarzyczkę. To znów poruszał się niespokojnie, a wyraz zgrozy oblewał jego twarz. Mamrotał chwilami jakieś nieartykułowane dźwięki, które czasami zlewały się w wyraźne słowa. Raz krzyknął:

— Mamo!

I znów pogoda na twarzyczce, znów uśmiech i znów cichy sen. A potem obraz zgrozy jak na ekranie filmowym i warknięcie złe, rozwścieczone:

— Zbój! Drań! Szwab! Morderca!

A potem jeszcze raz powtórzyła się bardzo dokładnie gra uśpionej twarzy. Jeszcze raz wyraz zgrozy, ale zarazem również i wyraz rozpaczy. I cichy, cichutki, a mimo to wyraźny jęk:

— Ojcze! Ojcze!

Teraz jednakże najwidoczniej znużenie było silniejsze, niż wszystkie obrazy zachowane w pamięci Ryśka. Tym razem już bezapelacyjnie zwyciężyło obolałe, wymęczone ciało. Ryszard zaczął spać snem głębokim, uspokojonym, twardym, ale snem zbawiennym, ponieważ leczącym lepiej i skuteczniej, niż najlepszy balsam. Sen jest najlepszym lekarstwem na rany obolałej duszy.

Major ciągle stał pochylony nad małym Ryszardem. W mdłym blasku świec obserwował grę małej twarzyczki i domyślał się uczuć, które drążą, które trawią, które gnębią senne marzenia malca. Twarz, utopiona w półświetle, była tak wyrazistą, że skolei serce majora zaczęło uderzać w takt współczucia, bezgranicznej litości i rozczulenia. Ale zarazem major czuł w sobie zadziwienie, patrząc na grę małej twarzyczki. Chciałby jaknajprędzej usłyszeć od malca historię jego przeżyć, chciałby dowiedzieć się, jak się to stało, że Rysiek wpadł na ślad niemieckiego wywiadowcy, chciał się dowiedzieć wszystkich szczegółów. W miarę tego jak patrzył, to małe cia-

archiwum

ło obcego przecież dotychczas, pierwszy raz przed pół godziną ujrzanego chłopca, stawało mu się coraz bliższe i coraz droższe. Aż się zadziwił tym swoim uczuciem.

Kiedy z zewnątrz zaczęły dochodzić szelesty, które coraz bardziej gęstniały i rosły przemieniając się w przyciszony gwar i w tupot; kiedy te gwary i te tupoty coraz bardziej zbliżały się, major z niepokojem spojrzał na wyjście do ziemianki. Sam przyłapał się na uczuciu, że się boi, ażeby małego nie obudzono. Wiedział bowiem, że to wracają ludzie wysłani na pościg.

Niepotrzebne jednakże były obawy majora. Śpiącego Ryszarda nie zbudził by nawet wystrzał działa, spał tak mocno.

Tymczasem szmery, gwary, miękkie tupoty przemieniły się w szelesty suwających się po stromym brzegu rzeczki ludzi i stały się coraz wyraźniejsze. Jakaś ręka uchyliła koc, który zasłaniał wejście do ziemianki i następnie jeden po drugim poczęli wchodzić ludzie w mundurach. Oficerowie i podoficerowie. Lotnicy i piechota.

Głos porucznika przerwał dotychczasową ciszę:

— Panie majorze, melduję, że zadławiliśmy drania. Zostawiłem czterech ludzi, którzy mają przynieść jego ciało. Dzięki objaśnieniom tego malca...

Tutaj porucznik rozglądnął się dookoła jakby kogoś szukając. Postać majora zasłaniała stos płaszczy, na których leżał śpiący w tej chwili Ryszard, to też major, widząc wyraźny znak zapytania, rysujący się na obliczu porucznika, usunął się nieco, wskazał z uśmiechem na ustach, leżącą sylwetkę i rzekł półszeptem:

— Proszę rozmawiać ciszej, panie poruczniku. Ten mały spryciarz usnął i śpi w tej chwili jak zabity. Jestem zdania, że kiedy się obudzi, usłyszymy od niego opowieść niezwykłą i bardzo chyba tragiczną. Biedny malec! Ale że dzielny, to dzielny.

Porucznik uśmiechnął się również i rzekł przyciszonym głosem:

— Zabawne jest to, że idąc w myśl wskazówek tego wyrostka, trafiliśmy od razu na Niemca. Zrobiliśmy regularną obławę, jak na zająca. Otoczyliśmy lasek i potem zbliżali się ku środkowi. On widocznie musiał nas już spostrzec na tle poświaty gwiazd, bo krył się coraz dokładniej. I może nawet bylibyśmy go przegapili, bo to przecież i ciemno i lasek i krzaczki i dookoła pełno jakichś dziwnych kształtów, które sprawiają złudzenie kształtów człowieka. Na szczęście jednak nerwy mu nie wytrzymały i oddał w naszą stronę strzał. Tuś jest, bratku! Już teraz żadne ukrywanie się nie pomogą. Runęliśmy ze wszystkich stron naprzód, ale on drań strzelał coraz gęściej. Chciałem go żywcem wziąść i to za wszelką cenę mimo, iż obawiałem się, że posiada przy sobie granaty ręczne...

Tutaj przerwał relację porucznikowi inny głos. To odezwał się gruby sierżant o twarzy jowialnej, błyszczących oczach i radosnym uśmiechu.

— I miał hycel, miał kilka ładnych sztuk. W ogóle, jak go tu przyniosą razem z jego manelami, to my możemy mieć ciekawą zdobycz. Trzeba go dokładnie obszukać. Już ja go tam obmacam, już ja przepatrzę każdy jego włosek i każde włókno w mundurze, a o kieszeniach i podszewkach to szkoda nawet mówić!

Porucznik uśmiechnął się do słów sierżanta i dalej ciągnął opowieść:

— Kiedy on strzelał, to i myśmy zaczęli mocno hukać. Praliśmy Panu Bogu w okno i zbliżali się coraz bardziej. Aż wreszcie ktoś chyba przypadkiem musiał go zastrzelić, bo nagle umilkł. Zaraz tu się wypytamy, kto też go tak celnie ugodził. Ukryty był wcale dobrze za grubym dębem, w malutkim wgłębieniu. Leżał sobie tam jak król i właściwie mógł nas wszystkich powystrzelać. Całe szczęście,

archiwum

że nikt chyba z nas nie doznał szwanku. Nawet rannego nie ma.

Jowialny sierżant znów przerwał:

— Owszem, jest panie majorze. Pyzaty Jasiek przewrócił się w ciemnościach i, jak to on, trafił na wystający korzeń. Dziwnie celny hycel z tego Jaśka! Korzeń nie wysoki, prawdopodobnie i dość wąski, a on go trafił samym środkiem nosa. Polała mu się krew i cieknie dotychczas.

Wszyscy zaczęli się śmiać i to tak głośno, że aż major musiał uciszać. Najwidoczniej Jasiek, zwany „Pyzatym" miał odpowiednią opinię wśród obecnych. Musiał chyba ciągle bywać bohaterem różnych przygód, które wywoływały wesołość.

Wtem spoza szałasu rozległ się okrzyk:

— Chodźcie no tutaj, pomóżcie nam!

(Ciąg dalszy nastąpi).

(Kołysanka).

Idzie Niebo ciemną nocą
Ma w fartuszku pełno gwiazd!
Gwiazdy błyszczą i migocą,
Aż wyjrzały ptaszki z gniazd.

Gdy wyjrzały — zobaczyły,
Już nie chciały dłużej spać!
Kaprysiły... Grymasiły...
Żeby im po jednej dać!

Gwiazdki nie są do zabawy,
Tożby Nocka była zła!
Ej, usłyszy Kot Kulawy
Cicho bądźcie!
Aaa... aaa... aaa...

archiwum

ANATOL KRAKOWIECKI

O Związanych Sercach Dzwonów

Czy wiesz, Basiu, jaki był największy dzwon w Polsce?

— Dzwon Zygmunta.

— Tak jest, w dużej wieży katedry wawelskiej w Krakowie, wisiał największy w Polsce dzwon, dzwon Zygmunta. Nosił tę nazwę dlatego, że rozkazał go ulać król Zygmunt. Dzwon był tak wielki, że nie mógł dzwonić weń jeden człowiek — kilku ludzi musiało ciężko pracować, ażeby dzwon się poruszył i wydał dźwięk. Dzwonił ten dzwon przez kilka wieków przy różnych uroczystościach, ale tylko przy tych największych. A więc: kiedy króla obrano i kiedy go koronowano. A więc: kiedy król umarł, kiedy odniesiono zwycięstwo pod Wiedniem, kiedy wypędzono Szwedów z Polski. A potem po długiej niewoli zadzwonił znów, kiedy Polska powstała na nowo i znów dzwonił przy najważniejszych, największych, najświętszych uroczystościach. Nie tylko uraczystości kościelne, ale i święta narodu odzwaniał Zygmunt. Był to najbardziej narodowy ze wszystkich dzwonów. Dzisiaj ten dzwon nie istnieje: ukradli go Niemcy.

— Ach!

— Umyślnie ci to mówię, Basiu, ponieważ chciałbym, abyś to na zawsze pamiętała. Dzwon Zygmunta ukradli Niemcy!

— A dlaczego powiedziałeś, że będziesz mi opowiadał o zawiązanych sercach dzwonów? Czy dzwony naprawdę mają serca?

— Każda pierś człowieka jest, jakby dzwon, w każdej człowieczej piersi bije serce. Tak samo i dzwon posiada serce, które tworzy dźwięk. A zawiązane serca dzwonów? Zaraz ci opowiem. Minie styczeń, biały i mroźny i nadejdzie luty. Drugiego lutego, w dzień Matki Boskiej Gromnicznej, lud idzie do kościoła i święci żółte świece. Nazywają się one gromnicami, a zapala się je tylko wtedy, kiedy w domu umiera ktoś bliski. Ale miesiąc styczeń i miesiąc luty — to karnawał. Tylko raz jeden w ciągu karnawału myśli się o śmierci i to właśnie przy święceniu świec. Karnawał jest okresem, kiedy ludzie bawią się, śpiewają i tańczą.

Ponieważ w zimie odpoczywa przyroda, przeto ludzie, którzy są częścią przyrody, mają również prawo do odpoczynku.

— I to się nazywa karnawałem?

— Tak jest. Kiedy zaś przychodzą ostatnie dni karnawału, odbywają się w Polsce zapusty. Najweselsze zabawy, najgłośniejsze śpiewy, najbardziej zamaszyste tańce, najlepsze jedzenie. Dni zapustne, to są książęta karnawału, a królem dni zapustnych i królem karnawału jest tłusty czwartek. Cała Polska zajada się pączkami i faworkami. Czasem w pączku zapieczony jest pierścionek lub złota moneta. W Warszawie zjadano w zapusty pięć milionów pączków.

— Bardzo smaczny jest ten król karnawału, ten tłusty czwartek...

— A potem przychodzi dzień, w którym znów trzeba pomyśleć o śmierci. Dzień ten nazywa się: Popielec. Zawsze wypada we środę i wtedy ludzie idą do kościoła, modlą się, a ksiądz posypuje im głowy popiołem. Na znak skruchy i żałowania. W ten sposób zaczyna się Wielki Post. Zaczyna się cały szereg uroczystości kościelnych, które są smutne i pełne skupienia. Idzie niedziela za niedzielą, a jedna nazywa się Głucha, inna Czarna, aż wreszcie Palmowa. W Palmową Niedzielę święci się palmy.

— A więc w Polsce również rosną palmy?

— Nie dziecino, w Polsce palmy nie rosną. Te palmy, które święci się w niedzielę palmową, nie są prawdziwe. Cóż z tego — znaczą tutaj uczucia i palmy nabierają olśnie-

archiwum

nia palm prawdziwych. Potem zaczyna się Wielki Tydzień. I znów dużo uroczystości kościelnych na pamiątkę Męki Pańskiej. W Wielki Czwartek zawiązuje się serca dzwonów. Obwiązuje się serca dzwonów krepą i dzwony milkną.

— Jaka szkoda.

— Poczekaj, Basiu, dzwony znów się odezwą. Na razie jednak milczą zawiązane serca dzwonów. A cała Polska, jak długa i szeroka, jest krainą dzwonów. Dzwony w Polsce przynoszą wieści religijne i narodowe. Radosne i posępne. Wesołe i żałobne. Otóż w Wielki Czwartek milkną dzwony w całej Polsce. Wówczas w małych miasteczkach i po wsiach, zaczynają wychodzić na ulicę gromady chłopców z terkotkami drewnianymi.

— Po co?

— Ponieważ dzwony w Polsce nie tylko przynoszą wiadomości wielkie radością, czy wielkie żałobą. Dzwony przynoszą również wiadomości codzienne i szare na użytek ludzi pracujących. Rano dzwonią na Anioł Pański i wówczas ludzie idą do pracy. Potem dzwon odzywa się w południe i ludzie zasiadają do obiadu. W obiad na wsi widzisz długie miedze, na których siedzą ludzie i spożywają. Wreszcie znów odzywają się dzwony wieczorem, skoro zapada mrok zmierzchu, i obwieszczają koniec dnia roboczego. A kiedy w Wielki Czwartek dzwony milczą, zastępują je te drewniane terkotki i kołatki. Idzie gromada chłopców ulicą i robią hałas; drewniany, bezdźwięczny hałas.

— I co dalej?

Musiałem chwilkę pomyśleć nad tym, ażeby dość jasno opowiedzieć.

— Zauważ,Basiuniu, jak to wszystko idzie w swej kolejności! Naprzód była zima, odpoczywała natura, odpoczywała przyroda i odpoczywał człowiek, a obyczaje pozwalały człowiekowi na odpoczynek i na zabawę. Jednakże zima miała się ku końcowi i człowiek musiał być na nowo przygotowany do pracy. Wobec tego karnawał się skończył i ludzie posypali głowy popiołem. Kiedy jeszcze był karnawał, biało było dookoła, srebrzyście, tęczowo i mroźno. Kiedy atoli przyszedł Popielec, to spod śniegu wyglądnęła czarna ziemia, jakby mówiąc: odpoczęłam i pragnę pracować. Więc ludzie zrozumieli wołanie i wzięli się do pracy. A potem ziemia czerniała coraz szerzej i coraz wyżej; od dolin na zbocza gór. I ziemia przestawała być czarną, a zaczynała być zieloną. Ziemia zaczęła swój trudny okres rodzenia. Potem z kolei nadchodzi Zmartwychwstanie.

— Ach, jak to dobrze.

— Wielkie, bardzo wielkie to święto. Kiedy religia nasza obchodzi święto Zmartwychwstania, nasza ziemia obchodzi je również. Przeważnie odbywa się ono wśród wspaniałej wiosny. Rozwiązane serca dzwonów dzwonią na cały kraj wzdłuż i wszerz. Dopiero co były zawiązane krepą, a teraz rozbrzmiewają rozgłośnie i cieszy się ziemia, cieszy się lud.

— A czy Zygmunt też miał serce zawiązane?

— Zygmunt jest dzwonem i też miewał serce zawiązywane. I też z niego opadały więzy kiedy przyszedł Czas Zmartwychwstania.

— A więc już teraz nigdy nie opadną z Zygmunta więzy, ponieważ Zygmunta nie ma, ponieważ Zygmunta ukradli Niemcy?

— Słuchaj, Baśka, i uważaj, co mówię i staraj się zrozumieć. Każda pierś ludzka jest, jak dzwon i serce w niej bije. I w twojej piersi bije dzwon i w mojej i w piersi każdego Polaka. I my wszyscy Polacy, jak tu jesteśmy, mamy zawiązane nasze serca. Wszyscy, bez wyjątku. Ale przyjdzie dzień, w którym opadną więzy z naszych serc i nasze serca wszystkie zadzwonią tak głośno, że głośniej niż Zygmunt. To będzie dzień Zmartwychwstania. I spłynie łza w kąciku ócz z żalu za straconym Zygmuntem, ale łza ta utonie w powodzi innych łez, które będą łzami radości z powodu Zmartwychwstania. I na nowo ulejemy nowy olbrzymi dzwon, dzwon większy, niż dzwon Zygmunta. Może nawet dzwon ten nazywać

archiwum

się będzie: „Zygmunt Drugi". I odlejemy na nowo wszystkie dzwony ukradzione w Polsce. Postawimy na nowo wieże kościelne, aby miały gdzie zawisnąć te nasze nowe dzwony i aby miały skąd ogłaszać swą, to znaczy dzwonów, radość. I radość nasza to znaczy radość Polaków. Mamy bowiem ręce pełne pracowitości, zręczności i skupienia...

I dodałem:

— I wtedy będzie Wiosna, zielona i ukwiecona. Wiosna tworząca w mozole i w pięknie. Wiosna rozwiązanych naszych serc, rozwiązanych serc dzwonów, rozwiązanego olbrzymiego serca naszego narodu.

BEATA OBERTYŃSKA

Ulewa dzisiaj, ulewa
po spiece o białej twarzy,
runęła w pożółkłe drzewa,
ulewa, letnia ulewa,
opadła ogród z nienacka i praży!

Zielonym, mokrym się echem
po liściach deszcz opowiada,
drzewa z zapartym oddechem
stoją, gdy z szumem i śmiechem
deszcz o nie trze się w przelocie i spada.

Deszcz liście, jak psy legawe
po ciepłych uszach gładzi
i leci w spaloną trawę
w badyle suche, niemrawe
...Woda grać cicho już zaczyna w kadzi...

Już rynna na deszczu się śmieje,
kadź śmiech jej gardziela łapie...
Runęła letnia ulewa
w ogród, na trawę, na drzewa,
a kadzi już dudni i śpiewa i chlapie...

Woda z wysoka w żwir bije,
rynną się wierzchem przelewa,
strug mokrych ruchliwe ryje
pcha żwir i chłepce i pije,
mlaskanie takie łakome, jak z chlewa...

Ulewa dzisiaj, ulewa!
Po długich i skwarnych targach
Ze spieką o suchych wargach.
Wilgocią ciemne już drzewa,
Grzmi w kadzi, a w rynnie śpiewa. Ulewa!

archiwum

ANTONI BOGUSŁAWSKI

Bryś i Igiełka

— Pan Igiełka — znacie zwierza, który czesze się na jeża? — tupu-tupu, po cichutku drepce sobie po ogródku i, łakomy gładząc brzuszek, chciałby parę zjeść jabłuszek.

Nagle w drodze napotyka pana Brysia, psa-złośnika.

— Ach, ty jeżu, podły zwierzu, ze szpilkami na kołnierzu! Znów mi toczysz się pod nogi, jak kłąb igieł, pośród drogi?

— Jaśnie panie, psie-brytanie, idę sobie na śniadanie... Za wąwozem, gdzie ta dróżka, jabłoń słodkie ma jabłuszka. Przecież szkody ci nie zrobię, jeśli parę wezmę sobie!

— Parę jabłek! Bardzo proszę! Ja cię zaraz stąd wypłoszę! Skąd że znowu taka chrapka przyszła ci na moje jabłka? Precz mi z oczu! Tak bym radził!

Jeż aż w ryjek palec wsadził i po rozum myk! — do głowy.

— Jaśnie Panie, jam gotowy zaraz z oczu zejść waszmości, jeśli się jegomość złości i jabłuszek swych mi broni. Ale myślę: do jabłoni, za wązowem, tą tu ścieżką przecież wcale niedaleczko. Mógłby waszmość bez fatygi pójść tam ze mną na prześcigi, a ja, jeśli pierwszy będę, to jabłuszek coś zdobędę.

Bryś się zaśmiał i odpowie:

— Głupi jeżu! Co ci w głowie? Skąd zuchwałość w tobie taka, kiedy łazisz, jak pokraka? Mój Igiełko, ja po łące bystronogie gnam zające, z końmi się w zawodach mierzę — cóż mi takie nędzne zwierze? Ale zgoda: ześ zuchwały, zamiast jabłek, weźmiesz wały, bo gdy przegrasz, spuszczę lanie, że i igieł nie zostanie!

Pędzą, lecą... Hulaj dusza!...

Bryś poprawił kapelusza i odsadził się w rozpędzie... Oj, Igiełko, co to będzie?

A Igiełka nic truchcika...

Aż gdzie wąwóz, z oczu znika. Przed nim

archiwum

ściana stroma, śliska, a on w kłębek! I z urwiska pędem się, jak kula, toczy.

Bryś się wścieknie, a nie skoczy! Szczeknął, zawył, no — i drapie na około, co sił w łapie.

Gdy przyleciał — miły Boże! Pot mu ścieka po jęzorze, harap zgubił gdzieś po drodze i z fatygi dyszy srodze.

A Igiełka ponad drożką siedząc je jabłuszko. Tak zawija raźno, pięknie, że straszno, czy nie pęknie. Zjadł, a potym, uraczony, ruszył sobie w swoje strony.

Biedny Bryś ogryzki grzebie...

Nie bądź nadto pewny siebie!

Polskie statki handlowe są wszedzie

W ciągu obecnej wojny pewno często słyszeliście, że statki polskiej marynarki handlowej są w W. Brytanii, w Ameryce, w Afryce, a często zawijają nawet do portów dalekiej Australii albo Indii. A jak to się stało, że statki naszej floty handlowej, która przed wojną była przecież stosunkowo mała (liczyła tylko 135.000 ton brutto) — jednak zdołały opuścić zupełnie opanowany przez Niemców Bałtyk.

Stało się tak dlatego, iż nasze władze morskie w porę przewidziały, że na wypadek wojny Niemcy zablokują i tak ciasne wyjścia z Bałtyku i zechcą wtedy zagrabić nasze statki i okręty. To też z końcem sierpnia 1939 r. ponad 90% polskich statków handlowych stopniowo i po cichu opuściło Bałtyk i dotarło do bezpiecznych portów brytyjskich. Pewną liczbę mniejszych statków pozostawiono w Gdyni dla obrony wybrzeża polskiego. Zdały one piękny egzamin, ale prawie wszystkie zginęły w walce z Niemcami. Trzy inne statki zostawiono na Bałtyku dla specjalnych celów. Wydawało się, że i te statki stracimy, ale dzielne ich załogi zdołały wydrzeć się z Bałtyku i dołączyć do innych polskich statków.

W ten sposób już w październiku 1939 roku prawie cała polska flota handlowa mogła na nowo rozpocząć z Niemcami walkę, którą do dnia dzisiejszego prowadzi bez przerwy.

Chociaż w porównaniu do innych flot polska flota handlowa jest stosunkowo mała, to jednak ma opinię jednej z najdzielniejszych. Brała ona udział w każdej poważniejszej akcji w czasie tej wojny.

Na przykład w czasie walk o Norwegię polskie statki zawiozły do norweskich portów wojska Sprzymierzonych, a po zawarciu przez Francję zawieszenia broni z Niemcami, nasze statki wywiozły z Francji wielu polskich, brytyjskich i innych żołnierzy. Kiedy później Francuzi z Vichy uwięzili w Dakarze sporo statków alianckich, a wśród nich 6 polskich statków, pierwsze statki, które z Dakaru uciekły, to były właśnie te polskie statki.

Następnie statki polskie brały udział w „Bitwie o Atlantyk", często ratując rozbitków z innych statków, zawiozły na Madagaskar „komandosów" którzy zdobyli tę wyspę, w bardzo ciężkich i niebezpiecznych warunkach woziły broń, amunicję i żywność do Północnej Rosji, wzięły udział w walkach o Libię, a później współdziałały w zdobywaniu północnej Afryki, Sycylii, a ostatnio samych Włoch.

Możemy więc słusznie być dumni z naszej Floty Handlowej.

Wiesław Waligórski

FATMA JEDZIE NA WAKACJE

I

W dniu dzisiejszym od poranku Fatma łuszczy groch na ganku, patrzy — od hebrońskiej strony idzie drogą ktoś znajomy...

II

Więc przechyla się z balkonu, — tak, to tata jest, z Hebronu wiezie w skrzynkach winogrona.

III

Fatma wita się, szczęśliwa, a tata tak się odzywa: „Pakuj, córko, swe manatki, bo w nagrodę za twą pracę na trzy dni jedziesz do matki".

IV

Fatma włazi w skrzynkę pustą, osioł w miejscu nie chce ustać, gotów nawet iść w galopie, kiedy Fatma na urlopie!

archiwum

KRONIKA HARCERSKA

POLOWANIE NA „SMOKA"

22 kwietnia 1944 r. wśród zuchów, harcerek i harcerzy w Tel-Aviv i Jaffie rozeszła się wieść, że pojawił się tam smok na podobieństwo tego, którego zabił św. Jerzy i, że nie tylko miał on zamiar porywać ludzi i zwierzęta, lecz przede wszystkim miał szerzyć złość i nienawiść jednych do drugich i siać niezgodę i wszelkie zło. Wszyscy dopytywali się o smoka, a zwłaszcza zuchy. Czy jest naprawdę? Czy jest żywy? Czy może być w ogóle smok na świecie? Pomimo jednak wątpliwości zuchy szykowali broń — łuki, strzały, proce szable i sztylety.

Na dane hasło cała brać harcerska ruszyła na poszukiwanie smoka. Wypatrując śladów strasznego potwora gromadka harcerek i harcerzy wzbudzała ciekawość licznych przechodniów na ulicach Tel-Aviv swoim niecodziennym strojem. Ciężkie było tropienie, lecz nareszcie natrafiono na ślady prowadzące do pardesu, gdzie mieszkają Polacy. Ruszono więc czym prędzej w pościg. Trudne jednak to było zadanie, albowiem smok pozostawił wiele przeszkód, które trzeba było pokonać. Najcięższe zadanie mieli zuchy — musieli wspinać się na drzewa, przebywać duże przestrzenie chyłkiem, „bombardować" przeszkody, włazić po zwisających korzeniach i gałęziach drzew... Nie zraziło to ich wcale. Zuchy przebyli wszystkie przeszkody i ostatecznie dopadli okropnego potwora i przypuścili ostatni atak. Wszystko było czynne — łuki, proce, i „granaty". Tego już za wiele — smok nie wytrzymał i runął na ziemię śmiertelnie zraniony. Wtedy zuchy chwycili za białą broń i wpadli na niego, ćwiartując go na kawałki i paląc go na ognisku.

Tak zginął „Smok", uosobienie obłudy i kłamstwa, zazdrości i oszczerstwa, niezgody i nienawiści. A pokonały go nie tylko razy broni zuchów lecz przede wszystkim czyste i pełne zapału i dobroci serduszka dzieci. Oby tak, jak zuchy, walczyli ze smokiem niezgody i nienawiści wszyscy Polacy. Szkoda tylko, że w tej walce ze „Złym Smokiem" nie wzięły udziału wszystkie dzieci. Walka ta jednak będzie trwać ciągle i do niej zapraszamy wszystkie dzieci polskie.

ROZRYWKI

2 SZARADY

Pierwsza wspak — ni zwierz, ni ptak —
Tylko skorupiak.
Drugą mówi mała Hania,
Gdy dziękuje, lub się kłania.
Trzecia — nie łam sobie głowy —
To zaimek osobowy.
A wszystko są to góry.
Któryż chłopiec zgadnie, który?

—o—o—

Pierwsza to zabawa bywa w karnawale
Ale przecież dzieci nie chodzą na...
Drugich pośród grochu albo i fasoli
Wysokich a cienkich znajdziesz tam dowoli.
Wszystko to jest morze, na północy leży,
A do tego morza nasza Wisła bieży. —

Ilustracje wykonał artysta-grafik ZygmuntKowalewski. — Drukarnia: The Jerusalem Press